

## Agawe

*A zatem na tebańskie przybyłem zagony,  
Ja, Zeusa syn, Dyoniz, ongi urodzony  
Z Semeli, latorośli kadmowego domu...<sup>1</sup>*

Zestawiła z węglowej kuchni garnek z gotującą się wodą, jak zwykle oparzyła się, chwytając go bez ścierki za ucho, jak zwykle skrzywiła się tylko, dmuchnęła w zaczerwieniony palec i zalała herbatę w czajniczku. Jak ta Aneczka długo śpi. Widać, że miastowa już, obca, nie taka jak oni – „ludzie na wygnaniu” – co budzą się wcześniej, gdy tylko promienie słońca oświetlą zarośla nad strumieniem, wywołując tym chaotyczny, szarobarwny niepokój na polanie, gdy tylko ptaki otworzą pierwsze kramy na porannym targowisku próżności, gdy jeszcze ani Cezarowi II (jaki ten szczeniak podobny do ich starego druha), ani dwóm domowym burym kotom nie chce się nawet otworzyć oczu. „Ludzie na wygnaniu”. Ile to już lat, gdy tak o sobie mówili? Już tylko ona i ojciec. Ojciec. Ksawery. Westchnęła. Czy też jeszcze śpi, czy leży bez ruchu, z otwartymi oczami i czeka, aż do niego przyjdzie. Olga, jego córka, tylko ona przecież jest z nim codziennie. Usłyszała kroki na schodach.

– Wstałaś – odwróciła się do przyrodniej siostry – przygotowałam śniadanie. Nasze, proste, wiejskie jedzenie. Chleb, masło, ser, konfitura z porzeczek. Pamiętasz, jakieśmy je sadziły z ojcem? Nie są zbyt słodkie, za mało tu słońca, za dużo cienia... Tak, za dużo tu cienia. W ekspresie masz swoją kawę, ja rano piję zawsze ziołową herbatę. „Herbata rozjaśnia umysł, a kawa go zasępia”. Jak widzisz, ja przestrzegam napomnień Natki, a ona z pewnością dawno o tym zapomniała. Mleko jest w bańce, z rannego dojenia, syn... syn sąsiadów, przyniósł przed chwilą. Tłuste, gorące, jakie lubisz. Do pierwszej kawy w sam raz – otworła drugie, boczne drzwi prowadzące z kuchni wprost na polanę. Ciepło późnego, letniego poranka wtargnęło do pomieszczenia. – Zabierz tacę na taras, ja zagłędnę tymczasem do ojca...

– Tutaj nie mogę długo spać – Aneczka przeciągnęła się, odgarnęła z twarzy czarne, kręcone włosy. – Dzisiaj też, chociaż po podróży czułam się strasznie zmęczona.

„Ładne mi ‘niedługo’, już po dziewiątej. Jakie te jej włosy inne od naszych – ojca, moich i Nataszy. Jaka ona inna”. Patrzyła na przyrodną siostrę. Aneczka nie zaglądała tu zbyt często,

---

<sup>1</sup> W opowiadaniu wykorzystano fragmenty *Bachantek* Eurypidesa, w tłumaczeniu Jana Kasprowicza.

a jeśli – wpadała jak po ogień. Po takich odwiedzinach, zwykle dwu-, trzydniowych, Olga nie mogła otrząsnąć się z tęsknoty, z żalu za tamtym, za minionym. Przez te dwa, trzy dni siostrzanego zajazdu dom kręcił się na kurzej stopce, wirował, hałasował, mówił pieprzne dowcipy, nawet palił papierosy i pił piwo; po wyjeździe dziewczyny od razu wpadał w drętwo, usypiał, zastygał i dopiero pokrzykiwania Olgi na ojca, że nie zjadł śniadania, na psy, że tylko śpią i śpią, zamiast obejścia pilnować, na koty, że one to samo, a przecież myszy coraz więcej i więcej, na firanki, że niezasunięte albo zasunięte właśnie, na lampy, że nieopaszone, na garnki, że znów brudne, a ledwie co pozmywała całą górę. Dopiero trzaskanie oknami, drzwiami, książkami, szorowanie lśniących podłóg, trzepanie czystych dywanów, przestawianie krzeseł, taboretów z kąta w kąt, z kąta w kąt znów budziło dom do jakiego takiego życia. „Jaka ona inna. I jaka do nas podobna”.

– Ptaki, słońce, powietrze – Aneczka podeszła do siostry i objęła ją w pół. – Zostawiłam na noc otwarte okno. Ale tu hałas rano! Pokaż się, ładnie wyglądasz, chociaż trochę posiwiałaś. Powinnaś farbować włosy. Co tu tak pachnie, Olgo? Czy on?... – przerzucała się pospiesznie z tematu na temat.

– Farbować? A dla kogo? Ojciec, Ksawery... bez zmian od Wielkiej Nocy – Olga uwolniła się z jej uścisku – od Pesach – bezwiednie uśmiechnęła się. – Drugi wylew sparaliżował go dokumentnie, jak wiesz. Mówi niewyraźnie, porusza tylko lewą ręką, chociaż umysłowo jest sprawny, o tak, sprawny aż nadto. Lekarze nie dają wielkich nadziei na poprawę. Parkinson, teraz to, i przecież już po raz drugi. Dwa wylewy w ciągu trzech lat, konia by powaliło. Wszystko koło niego trzeba zrobić. Dobrze, że Maciek, mąż Zosi, przychodzi codziennie – spojrzała mimowolnie na zegarek – czemu go jeszcze... no tak, sama mu kazałam przyjść później – mruknęła. – Ze mną też już coś nie tak. Maciej pomaga mi go umyć, posadzić na wózku, spędza z nim potem cały dzień, gdy ja jestem w szkole, karmi, czasem znosi na dół, ale już rzadko, bo ojciec nie chce pojawiać się tutaj, wśród ludzi. Ale jacy tu ludzie? Nikt tu już nie zachodzi. Widzisz – westchnęła – on powoli wycofywał się przez te lata w głąb siebie. Zaczął od zupełnego odcięcia się od drogi, potem zamknął się w domu, a teraz w tym pokoju.

– Zrobiła to choroba...

– Nie, to on tak chciał! Już od dawna, od wyjazdu Natki, od... od tamtego roku – podniosła głos i ściszyła go gwałtownie. – Wywołał wilka z lasu. A wiesz, że mamy tu teraz wilki? No tak, mówiłam ci już kiedyś – strzepnęła okruchy chleba z fartucha i stanęła w progu kuchni. – Co tak pachnie, pytasz? – zmieniła temat. – W ubiegłym miesiącu, tuż po zakończeniu lekcji, odnowiłam boazerię w holu i kuchni; w ciągu roku szkolnego nie mam czasu zająć się takimi rzeczami – praca, dom, ojciec, rozumiesz sama. Chciałabym...

chciałabym, żebyś coś na niej namalowała. Jakieś zwierzaki, rośliny, te twoje lwy, gryfy, jelenie, cytryny, wierzby. Oglądałam katalog z wystawy w Kolonii, ten który ostatnio mi zostawiłaś. Krążysz wokół tych samych motywów. Mam taki pomysł... – zawahała się – podejść do ojca, poczekać na mnie ze śniadaniem. Zjemy spokojnie, pogadamy, opowiesz, co u ciebie, przejdziemy się po ogrodzie, a potem pójdziesz się z nim przywitać. On je dużo później, w ogóle mało co już je. Czasem mam wrażenie, że on... – urwała i rzuciła jeszcze ze schodów:

– Natasza przyjedzie po południu. Dzwoniła wczoraj późnym wieczorem. Będzie zatem miał nas tu wszystkie razem. Tak, jak chciał. Aha, Natka przybywa z tym swoim nowym; czytałam o nich w jakiejś gazecie; coś tam jeszcze mówiła, chyba o torcie urodzinowym, ale już jej nie można było dosłyszeć.

– Parę drzew wymarzło jednak tej zimy – Olga podeszła do jabłoni, która jako pierwsza owocowała kiedyś na polanie. – Tej najbardziej mi żal, ona też ucierpiała. Pamiętasz, jakeśmy z namaszczeniem obchodziły ją wkoło i podziwiały jej dwa pierwsze jabłka?

– „Kto zjadł nasze święte jabłka?!” – młodsza siostra dotknęła splekanego pnia jabłoni. – Ulubione drzewko Ksawerego, to on te jabłuszka podwędził. A może nie umarłaś staruszeko, może za rok znowu będziesz rodziła? Pamiętam, że miała młode co dwa lata.

– Może. Wciąż nie potrafisz mówić o nim: „ojciec”?

Aneczka okręciła się na pięcie:

– A nie! Raz tak a raz tak. „Ksawery”, gdy wspominam nasze stare czasy, z... mamą i w „Domu pod gontami” i „ojciec”, gdy kombinuję z czymś nowym, no wiesz: maluję albo robię te swoje paskudztwa, no i kostiumy. Czyli na opak: jest ojcem mojej sztuki a Ksawerym mojej duszy. *Anima mea* przecież czasami usiłuje dotrzeć do tamtego ojca i tamtej matki. O których prawdę poznałam tak późno, czemu tak późno? – dodała smutno.

Obeszły cały ogród, dotknęły wszystkich drzew, przystanąły przy każdym krzaku. Aneczka podeszła do płotu:

– O, tu, tu miały być truskawki. Ojciec przekopał kilka grządek, nieźle się napracował, sporo tu kamieni. Cóż, trawa w mig wszystko zarosła. Walczyłam z nią bezsensownie, przegrałam i tyle było tych truskawek. Parę tylko uratowałam, były z cukrem i ze śmietaną, pamiętasz? Szkoda. Więcej prób nie było, chyba że potem ty... Nie? Słusznie, to nie miejsce na takie uprawy. Tak, za zimno, za ciemno. Cały ten ogród ledwo dyszy w tej gęstwinie, w tym mroku. Ale jakoś ciągnie i to twoja zasługa. Podlewasz, nawozisz, plewisz, przycinasz. To samo robiłaś z nami, prawda? – Aneczka przycupnęła na przewróconym pniaku. – To tutaj

siadała, pamiętasz? Ach tak... tobie pokazywała się na huśtawce, jak Natce. Wiesz, dla mnie czasami miała twarz innej kobiety. Mojej matki? Obok niej stał niewysoki, szczupły mężczyzna. Ojciec? – wyjęła z kieszeni kurtki paczkę papierosów, zapaliła, wyciągnęła pudełeczko z tabletkami. – Nie patrz tak krytycznie, lubię zapalić po śniadaniu. A od miesiąca ciągle boli mnie głowa. Jak Natkę, gdybym była waszą rodzoną siostrą, powiedziałabym, że to rodzinne. Natasza całe życie zmaga się z tym bólem; ojca, Ksawerego, też kiedyś koszmarne bolała głowa, pamiętam. Natasza bierze całe garście różnych proszków, widziałam, bo spędziłam kiedyś u niej cały tydzień. Rano na ból kłujący, w południe na tępy, wieczorem na... ona już chyba sama nie wie, na jaki. Proszki zapija kawą, alkoholem i tak wkoło. Jak ona to wytrzymuje? I pali nie tylko to... – wskazała na paczkę – jej sprawa. I snuje te swoje teorie. Zawsze była walnięta, no nie? – strzepnęła popiół w trawę, podniosła głowę, popatrzyła przed siebie, daleko, gdzieś na drogę. – Wiedziałam, rzecz jasna, że nie jestem waszą rodzoną siostrą, ale jakie to miało znaczenie dla małego dziecka? Przecież było super! Tamtych ludzi nawet nie pamiętam, może tylko znała ich moja skóra, może ona pamięta jakiś dotyk, może znały ich moje powieki, moje włosy, może one pamiętają jakieś ciepło, jakiś pocałunek? Odeszli tak gwałtownie i tak wcześnie, że tylko moje zmysły ich wyczuwają, moja głowa – nie. Płaczę często, nie dlatego że do nich tęsknię, ale dlatego że nie tęsknię. Wiera i Ksawery to byli rodzice i kropka. Ale... – zgasła uważnie papierosa i pstryknęła go za ogrodzenie – ale czemu on mi nigdy o nich tego nie powiedział, aż do tej wiosny, że, że oni, że ja, że... no wiesz. A tu nagle, nieoczekiwanie te kpiny, w szkole, w sklepie, pod kościołem, uśmieszki, szept, szpileczki, igielki, drobne, ukłucia, kąsania, malutkie, drobne, niewinne. Wreszcie, gdzieś z ukrycia, zza rogu, zza węgła, zza firanki, słowo, jedno, drugie, takie samo, trzecie, już nie uśmieszek a śmiech, zły, drwiący, czemu? Odwracasz się, kto? co? nikt, ja? ja nie, to może on, albo ona, tamta z warkoczem albo ta ruda, znowu i znowu. Tato, czemu?, powiedz. Powiedział. Nie zrozumiałam, wybiegłam wzburzona, wściekła. Jak to? No i co z tego? A jaka to różnica? Co, czy ja inna? Przecież... No tak, ale to zrobili właśnie tacy jak wy. Jak ty. Jak my? Jak ja? Ja? Nie i nie. Zatem schować się, ukryć, pomyśleć. Może porozmawiać z tymi zza rzeki? Ale czy rozumieją? Więc lepiej poczytać teraz o tym, co wcześniej, co... bardziej moje? Moje? Moje, czyli czyje? A na razie odsunąć się. Od was i od tych wkoło. Przeczekać, poczekać. Głupi Ksawery, a oni wstrętnei, obrzydliwi. Nie kontaktować się z nimi, nie rozmawiać; obojętność, wyniosłość. Tak, duma i odraza. Po pierwsze, siedź sama w ławce. Po drugie, nie będziesz miała... Więc tak to było, Olgo. Po jedenaste – wyjechać, jak najszybciej, jak najdalej. No i stało się, Olgo, stało. Dobre stypendium, dobre. Nigdy o tym tak wprost nie rozmawiałyśmy. Ksaweremu było już

wszystko jedno, wiesz o tym? Może gdyby próbował, starał się jakoś, może bardziej chronił. A on machnął ręką – nieważne! Nieważne? Dla niego liczyło się wtedy co innego... – Aneczka nagle spojrzała na siostrę przenikliwie. – O tej sprawie też nigdy nie mówiłyśmy. A może nie wiesz? Ty, taka ojcu oddana? I wierna? – oczy Aneczki zwęziły się naraz. Czy, czy wiesz, że Zosia, miła, śliczna, młodziutka, świeża pani nauczycielka, pani od muzyki, ach Schubert, ach Mozart, uosobienie niewinności, że ona i Ksawery, że oni wtedy zimą, przed waszą maturą i moim pójściem do liceum...? Ale ona zaraz go rzuciła i on już nigdy...

– Tak, wiem, oczywiście wiedziałam o tym, nie rób ze mnie idiotki. Treści twojej rozmowy z ojcem też się domyślałam, chociaż nigdy mi o tym nie opowiadał. On mi w ogóle mało co mówił. Chociaż oczekiwał sporo. To na mnie spadło wyciąganie go z tego. Na mnie! Miałam dwadzieścia lat. Dwadzieścia! – krzyknęła. – Tego już nie wiesz, nikt nie wie. O nim też, o dziecku. Co tak patrzysz? Rzuciła? Ach, ta wasza sztuka; sztuka tylko i nic więcej. Przeklęta sztuka. No, wracajmy – Olga ruszyła w stronę domu – trzeba dać ojcu śniadanie, umyć go, ogolić i ładnie ubrać. Natasza przyjeżdża, jego ukochana Natka. Jego marnotrawna córka.

\*

Dom Ksawerego i jego córek, „Dom pod gontami” – we wsi mówiono na niego po prostu: „dom Ksawera” – stał na skraju rozległej polany, ocienionej rano i za dnia, i tylko wieczorem rozświetlanej zachodnim słońcem (jeśli przytrafiło mu się akurat pojawić się nad okolicą). Otoczony z trzech stron gęstym, świerkowym lasem, oddzielony był jeszcze od świata głębokim jarem, „jego”, Ksawerego jarem, w którym, zależnie od pory roku i pogody albo sączył się, albo huczał jego strumień, porośnięty po brzegach olchami, jesionami i młodymi daglezbami; ze światem tym, zdecydowanie już przecież nie jego, łączyła polanę betonowa kładka, szeroka ledwie na jeden samochód, co sprawiało wrażenie, jak gdyby polanę odgradzono od drogi fosą ze zwodzonym mostem, który ktoś przed chwilą, zwyczajnie przez nieuwagę, opuścił. Jasnymi oknami spoglądał dom na utwardzaną drogę, która rodziła się daleko stąd, na rozstaju, przy zjeździe w dolinę i ginęła za zakrętem, przy starej kapliczce, gdzie drwale ściągali ścięte drzewa ze zbocza Góry.

Ksawery kupił ten kawałek ziemi tuż po śmierci żony. Człowiek, który mieszkał na skraju osady, rozłożonej u wlotu doliny, Sobotka jakiś czy może Sobótka, kogo to obchodziło, kończył właśnie budowę nowego, murowanego z pustaków domu, jednego z tych, co to mają tylko długo i wiernie służyć, więc sprzedaż odległej parceli pod lasem była mu bardzo na

rękę. „Obcy czy swój, jeden czort, komu sprzedasz, a może da się potem co przyrobić?”. Ksawery znał okolicę z czasów wspólnych z Wierą wypraw po natchnienie; polana wydała mu się odpowiednia, dostatecznie mroczna, położona wystarczająco daleko od najbliższych domostw, nie tak odległa jednak od końcowego przystanku autobusowego, co miało znaczenie, bo dziewczynki chodziły jeszcze do szkoły – Olga i Natasza do liceum w miasteczku, w Olchowcu, a Aneczka, najmłodsza córka, nie rodzona a przysposobiona, do powszechnej, tuż koło skrzyżowania z wojewódzką szosą. Nie kłócił się o cenę ziemi, zapewne nieźle przepłacił (kiedyś może byłoby to ważne), załatwił formalności u notariusza i w gminnych urzędach, zrobił szybko rysunki domu, szkice właściwie; przecież miał ten projekt już w głowie, gdy tylko stało się jasne, co z Wierą. Zdecydował się wtedy właśnie, po wyjściu od niej ze szpitala, że wyjedzie z miasta, zlikwiduje pracownię, galerię, sprzeda w końcu za granicę parę wczesnych prac, o które tak zabiegał monachijski marszand, i sam wychowa córki, z dala od tego całego zgiełku, nie będzie nikogo prosił o pomoc ani takiej pomocy oczekiwał.

Cieśle z Podhala prędko, w miesiąc, wzniesli z sześciocalowych bali duży drewniany, piętrowy dom, zaprojektowany na planie greckiego krzyża (przez wzgląd na pamięć Wiery), przykryli go czarnym gontem (nikt tak już tutaj nie buduje, więc nazwa domu przyjęła się szybko, szczególnie wśród przyjezdnych), omszyli chatę, nie prawdziwym mchem oczywiście a warkoczami z wełny drzewnej („jak mamusi, tylko dłuższe”), pociągnęli ściany przepalonym olejem, postawili proste ale solidne ogrodzenie z okorowanych żerdzi, też układanych na krzyż, z masywną, wysoką bramą u wylotu mostka. „Po co taka wielka?”, dziwiła się Aneczka. W końcu położono wszędzie boazerię, przyciętą z resztek drzewa, które pozostało po budowie. Na parterze dom miał ogromny hol, wielką izbę, w której Ksawery poustawiał swoje rzeźby i powiesił obrazy Wiery, była tam też jego pracownia, kuchnia, sala kominkowa, pełniąca zarazem funkcję jadalni, a której ściany pokryły nowe litografie, i jedna mała sypialnia. Od zawsze był to pokój Olgi. Olgi-gospodyni, Olgi-drugiej-matki, Olgi-pocieszycielki-strapionych, tej-wrednej-wstrętnej-Olgi. Na środku holu postawiono fortepian, na którym grywał jeszcze dziadek Jan, ojciec Ksawerego, potem brzdąkała Aneczka, a który miał odegrać ważną rolę w ich dalszym życiu, „życiu na wygnaniu”, „życiu w oddali”. Z holu wiodły na piętro szerokie schody („kiej wypijeta, nie możeta spaść...”); balustrady koniec końców nie założono, co wywoływało lęk Olgi, przede wszystkim o bezpieczeństwo Aneczki, a z czasem – Ksawerego. Ojciec uparł się jednak nie wiedzieć czemu, a później już nikt nie miał do tego głowy i tak już zostało. Na piętrze był ogromny taras, pokój ojca, „pokój matki”, w końcu dwie sypialnie – Nataszy i Aneczki.

Obie te izby stały potem, po latach, puste; ten Aneczki przynajmniej budził się od czasu do czasu, gdy dziewczyna odwiedzała ich w święta lub spędzała tu krótkie wakacje, ten Nataszy zasnął już mocno i służył tylko czasem jako pokój gościnny dla któregoś z dawnych kolegów Ksawerego. Albo koleżanek – Karoliny na przykład. Ale oni wszyscy od dawna już nie przyjeżdżali, więc Olga tylko raz w miesiącu otwierała pokój, wpuszczała trochę powietrza, wietrzyła przez chwilę pościel z komody, wymiatała niewidoczny kurz; przysiadła wtedy na kraju wiklinowego fotela Natki, poprawiała serwetkę na stoliku, przesuwała gliniane, malowane figurki bardziej w prawo albo bardziej w lewo, wreszcie zamykała izbę na kolejny długi miesiąc. Dom miał dwie łazienki, jedną na piętrze, co okazało się naprawdę ważne, gdy Ksawery zachorował i nie schodził już na dół, składzik, drewnię, kilka sekretnych komór, jedną z przejściem na drugą stronę zwierciadła i jedną z szafą wiodącą do Tajemniczej Komnaty, wreszcie, przyklejony do północnej ściany domu zadaszony garaż, w którym Ksawery trzymał swojego ukochanego „szerokiego” jeepa; samochód służył później oczywiście już tylko Oldze.

Ale to było już później, dużo później.

Na początku byli razem i było im tam dobrze.

Bo przecież było dobrze i bezpiecznie w tym ich pustkowiu, nawet w tej dziwnej przedwieczornej chwili, między dniem i nocą, gdy kształty traciły trzeci wymiar, kontury bladły, szarzały i gasły, niebo, las i dom stapiały się w jedno, gdy Wiera siadała, daleko od nich, na przewróconym pniu koło mostka albo na huśtawce (mieli na ten temat różne zdania) i patrzyła bez słowa, a chłodny podmuch wiatru przelatywał nad ich głowami; wtedy zamykali się w sobie, odwracali każde w swoją stronę i tylko Olga potrafiła przywrócić ich do życia, pokrzykując, że już późno, że zimno, że kolację trzeba podawać, okna zamykać, bo komary nalecą lub strzyga wpadnie (to do Aneczki), że psu wody do miski trzeba nalać, no i koce zbierać, bo zamokną.

Więc było domowo, ciepło i zwyczajnie, ale częściej – niezwyczajnie, ciekawie, zabawnie, nawet wesoło, bo wymyślał im Ksawery różne, przeróżne atrakcje i zajęcia. Żeby byli razem, żeby razem było im dobrze. Przyjeżdżali jego i Wiery przyjaciele i znajomi, już w piątek wieczorem, a najpóźniej w sobotę przed południem, i potem było wspólne muzykowanie, szukanie suchych gałęzi, rozpalanie ogniska czy grilla, krojenie, szatkowanie, mieszanie, doprawianie, nabijanie, nakładanie, wreszcie pieczenie, gotowanie, odwracanie, przekładanie, nareszcie jedzenie i picie, czasem bez umiaru, śpiewanie, unisono i chóralnie, pokrzykiwanie, na siebie, na leśne stwory, w końcu gaszenie, zalewanie, odprowadzanie do domu, ścielenie,

zamykanie i spanie, spanie – czasem do południa nawet, jak kto przesadził i przedobrzył, albo po prostu odurzyło go powietrze i zapach żywicy.

Latem, w czerwcu i lipcu, zawsze w niedziele, a czasem i w środy, organizowali *popularne koncerty muzyki poważnej* dla miejscowych i letników; tych drugich przybywało więcej, oczywiście z tej racji, że taka muzyka była jednak mało popularna, ale także dlatego, że ludzie z przysiółka wysprzedawać zaczęli ziemię pod domki letniskowe i świat po drugiej stronie jaru zaczynał powoli gęstnieć. Miastowiał. Zwali te koncerty pracą organiczną albo pracą u podstaw; Olga miała do tego szczególne zacięcie, jeździła na rowerze po okolicy i rozlepiała malowane przez ojca i Natkę plakaty, zawoziła księdzu ogłoszenie do przyklejenia na przykościelnej tablicy albo wójtowi do wywieszenia w gminie. Że etiuda, że koncert, że solista, że kwartet, że arie, że tym razem raz na ludowo, że za trzy dni niestety jednak w ogóle nie, bo zachorował lub zaniemogła, ale za tydzień to już na pewno, na sto procent. Goście przychodzili pieszo albo zajeżdżali autami, po kolei, cierpliwie, sznureczkiem pokonując wąski mostek i powoli zapełniając polanę. Siostry na zmianę, bo to wielka sprawa, zapowiadały program koncertu i przedstawiały muzykę i muzyków, a czasem muzykantów, w półkolu rozstawiano przed domem zielone, plastikowe krzesła i rozkładano pledy, instrument lub instrumenty ustawiano na szerokim ganku pod daszkiem (szczególnie ostrożnie przetaczając przez szerokie drzwi ukochany fortepian) i tak muzykowano plenerowo, przydomowo, powietrznie, podniebnie, napolannie; zdarzało się, że przybywał ktoś naprawdę znaczny, sławny wielce, duże, głośne nazwisko, a wtedy władza gminna albo duchowa zaszczycała ich swą obecnością, smakując kulturalne potrawy i nie tylko, bo przecież zawsze znalazło się coś na kilku małych stoliczkach-nakryj-się, stojących z boku cierpliwie i czekających swojej kolei. Dziewczyny *serwowały* wodę źródlaną z cytryną lub bez, herbatę, kawę i ciasteczka albo słone paluszki, a Ksawery wraz z Olgą zabawiali gwiazdę dnia i resztę gości uprzejmą rozmową. Goście z bliska i goście z daleka głaskali czarne loki Aneczki i uśmiechali się przychylnie do starszych sióstr-bliźniaczek, kiwając głowami z zadowoleniem i uznaniem. Jeśli upał prażył i słońce przypiekało zanadto, słuchacze chronili się pod parasolkami; Ksawery kupił nawet kiedyś dwadzieścia tanich, dużych, kolorowych parasoligrzybów, które wypożyczano najmniej wytrzymałym, a szczególnie tym, którzy jeszcze nie uodpornili swojej skóry na działanie ostrego wczesnoletniego słońca.

Silny, porywisty wiatr uważano powszechnie za największego wroga tych koncertów i jeśli złośnik rozwiewał nuty muzykom, musieli oni niejednokrotnie powtarzać, czasem i dwa, i trzy razy ten sam fragment utworu, tę samą frazę, co przecież nikomu tak naprawdę nie przeszkadzało i wprowadzało coś zmiennego, nieoczekiwanego, ba, szalonego, do utartych



schematów i wydeptanych ścieżek muzycznych wykonań. Stał wtedy na podwyższeniu taki, dajmy na to, skrzypek, z rozwianymi włosami i furkoczącymi połami fraka i bezradnie wpatrywał się we fruujące na wszystkie strony kartki, niezdarnie przytrzymując pozostałe, które też wyrwały się na wolność. Wtedy wkraczała Aneczka, która, zebrawszy niesfornych uciekinierów, groziła im piąstką i siadała albo stawała obok solisty czy tego muzyka, któremu wiatr najbardziej przeszkadzał i z namaszczaniem, dumna, że dokładnie wie kiedy, bo zna nuty, przekładała kolejne kartki, bacznie śledząc zakusy tego wichru-niecnoty.

Siedzieli więc słuchacze pod parasolami, mrużyli oczy, osłaniali się od wiatru i słońca, sączyli chłodną wodę, leniwie wymieniali opinie, a Ksawery z przyjemnością przyglądał się swoim córkom, które postrojone w odświętne sukienki, w fantazyjnych kapeluszach projektu Nataszy wyglądały, jakby ten czas i to miejsce były tylko ich, i był pewien, że nic nie zmieni się na gorsze w ich życiu, nic złego już się nie stanie, że to, co miało je zabołec, zranic, to już się zjawilo, ale odeszlo i nie wróci, jawnie ani chyłkiem, a ta polana, ten las, ten dom to ich własny świat, a kamienisty jar i strumień i półkolista ściana drzew wyznaczają, wytyczają, opisują granice, nieprzekraczalne dla złych mocy, ludzkich, diabelskich i innych. Jeśli deszcz lał rześysty i nie dało się zorganizować koncertu pod gołym niebem, wówczas tłoczono się w holu, siadano gdzie popadnie, na podłodze, na schodach i muzykowanie bardziej przypominało wtedy jazzowe *jams* w studenckich piwnicach.

Środy były inne, środy były luźne, dzinsowe, lekkomuzyczne, zwykle śpiewane albo swingujące, no, bywało, że eksperymentalne niestety też, ale zdecydowanie kameralne, bardziej rodzinne. Zapraszano paru tolerowanych sąsiadów, na przykład dyrektora sanatorium na olchowieckim wzgórzu, Celinę z osady, dalej Martę i jej brata Henryka, właścicieli sklepiku kolonialnego z uczeponą do niego małą knajpką, usadowionego całkiem rozsądnie przy zjeździe z wojewódzkiej w dolinę, jeszcze kilka koleżanek sióstr, młodego wikarego z parafii (który niedzielne koncerty opuszczał zwykle z przyczyn, rzecz by można, służbowych), jakąś szczególnie bystrą i ładną nauczycielkę ze szkoły lub nowego nauczyciela, który „tu po raz pierwszy, więc przeprasza, i czuje się zaszczycony, tylko nie wie...”, którego przecieź „witamy, serdecznie witamy, niechże pan siądzie, drogi panie tam, koło Nataszy – nie, to Olga – no niech się pan nie czerwieni, moje córki nie gryzą. A cóż to, córuś, tyś też cała w pąsach?”. Przyjechał raz do nich na takie środowe kolędowanie amatorski chór z Francji, chór mieszany, i od tego czasu tak długo wszyscy męczyli *Frère Jacques*, aż piosenka została w domu Ksawerego oficjalnie i kategorycznie zakazana.

Starął się też Ksawery, aby od czasu do czasu niedzielnemu porankowi muzycznemu towarzyszył niby-wernisaż prac kogoś z jego kolegów lub koleżanek. Na przykład Zygmunta,

Roberta albo Karoliny, o tak, na przykład Karoliny. Wieszano wtedy w holu (który zawczasu opróżniano ze stałej ekspozycji Ksawerego i Wiery) obrazy, grafiki, a czasem stawiano nawet niewielkie rzeźby i małe instalacje, które przyjeżdżały w bagażnikach i na tylnych siedzeniach samochodów, szczelnie zapakowane, opatulone, pieczołowicie owinięte i poukładane, albo po prostu rzucone byle jak, jedne na drugie, bezładnie i chaotycznie. I nie wiadomo dlaczego jedne przybywały tak, a drugie inaczej, bo przecież, jak zauważyła Aneczka, nie zależało to od wielkości owego artysty czy nawet urody tych dzieł. Podziwiano je potem, wymieniano mądre lub głupie uwagi, potrząsano głowami ze smakiem lub wstrętem, a one – jeśli zostawały w „Domu pod gontami” na dłużej – patrzyły potem na Ksawerego, Olgę, Nataszę i Aneczkę uważnie, zgadując ich przyszłość i szukając jakichś jej znaków, wskazówek, sygnałów.

A tych było coraz więcej i więcej. I niektóre wcale nie kolorowe, wcale nie uśmiechnięte, wcale... Ale na razie wiosenno-letnie godziny biegły w rytm muzyki i malarstwa, siępalań (a wcześniej sięsmarowania kremami, olejkami i innymi mazidłami), leniuchowania, czasem łażenia po lesie, hen wysoko, na Górę, do poręby albo i dalej, pod Stromą Turnię, a jesienie i zimy maszerowały w takt nauki, tej oficjalnej, szkolnej i tej drugiej przez podpatrywanie i podpowiedzi ojca; w takt powtarzania, recytowania, czytania, na głos i po cichu, dodawania i mnożenia, pisania, dzienniczków, dzienników, pamiętników, wierszyków, potem wierszy, opowiadań, niewinnych, nieudolnych, pensjonarskich, z czasem wcale dojrzałych, poważnych, smutnawych jednak raczej niż wesołych, gry w „beo-taro-most-na-dwoje”, loteryjki ich własnego pomysłu, o tak niejasnych zasadach, że mieli często problemy w wyłonieniu zwycięzcy, na pracach domowych, reperowaniu, naprawianiu, cerowaniu, smażeniu i wekowaniu, potem darciu i psuciu, otwieraniu i smakowaniu; czemu towarzyszył chrobot dłuta ojca oraz jęki i piski płyty, kamienia czy kawałka drewna... W rytm teatru wreszcie.

Ach, teatr! Kto to pierwszy wymyślił? Grecy. Grecy, to oczywiste. Dionizos i czereda jego; „pieśń kozła”, poeta Arion. Więc Grecy tam, ale tu, tu na polanie? Kto? Czy Natasza, zwariowana, neurasteniczna, pełna dzikich pomysłów, wielowątkowa, splątana coraz bardziej, w chaotycznej pogoni za właściwym *wyrazem* dla swoich niepokojów, lęków, coraz bardziej podobna do ojca w artystycznych skłonnościach duszy, a jednocześnie coraz bardziej i bardziej oddalająca się, odsuwająca od niego, od nich. Czy wpadł na to Ksawery, w przerwie między poszukiwaniem właściwej formy, między jednym pociągnięciem rylca i drugim? Czy Olga – dla pozszywania prującej się już zwolna materii, dla zacerowania dziur? A może teatr

podpowiedziała Aneczka, zauroczona jakimś szkolnym przedstawieniem albo wizytą w teatrze w Radzynie, w wielkim mieście?

Nieważne. Ważne, że podchwycili pomysł i zachłyszeli się nim. Nabrali powietrza i skoczyli w wodę. Oni byli trupą aktorską, widzami byli: wikary, ten sam który latem towarzyszył im w środowych koncertach; miś Aneczki; siedząca przy kominku „Kobieta z zakrytą twarzą”, wyrzeźbiona w szarym kamieniu, przetykanym rdzawymi nitkami; smętny, bo wiecznie głodny Cezar, młody wilczur, mieszkający zimą w domu, który jednak nie miał żadnego szacunku dla sztuki; no i czasami koleżanki dziewczynek lub panie ze szkoły i biblioteki, które okazywały więcej zrozumienia dla ich pomysłów i starań. Grano (trzeba by to nazwać raczej próbami czytanyymi) fragmenty *Trzech sióstr*, bo „która sztuka lepiej pasuje do naszego składu?” (Ksaweremu przypadły oczywiście wszystkie role męskie), ale także napisaną przez Natkę króciutką opowiadkę na motywach *Ani z zielonego wzgórza* (na wyraźne życzenie Aneczki, która postawiła ultimatum, że nie wystąpi już w żadnym dorosłym przedstawieniu, jeżeli nie pozwolą jej włożyć rudej peruki), *Odprawę posłów greckich* (z uwagi na powtórkę w liceum), a nawet... *Sen nocy letniej*. Komedie mistrza Williama, po paromiesięcznych przygotowaniach, wystawiono (pomijając niektóre niepokojące ustępy) w pewną duszną – a jakże – upalną noc, latem, w ogrodzie koło domu i było to wydarzenie kulturalno-towarzyskie w skali całej doliny. Walka o rolę Puka była tak zażarta i mogła zupełnie zantagonizować rodzinę, aż w końcu rolę powierzono, w drodze wyjątku, Julce z domu na wzgórzu (choć „na pewno nie poradzi sobie z tak subtelną rolą – toż to Szekspir”).

Nie uczono się ról na pamięć, jednak po parokrotnym przeczytaniu tekstu, zauważyli, że wchodził im jakby zniecka do głowy. Scenografia spoczywała oczywiście na barkach Ksawerego, inspicjentką była zwykle Olga, Aneczka projektowała stroje (a przynajmniej pozwalano jej uważać, że projektuje), ale teatr, teatr to było dominium Nataszy, jej księstwo, jej królestwo. To ona podpowiadała, jaką sztuką mogą się zająć, ona wybierała wątki, pisała scenariusze, reżyserowała przedstawienia, podpowiadała układy sceniczne, *prowadziła aktorów*. Z czasem zaczęła też wyręczać ojca w przygotowaniu oprawy plastycznej, sama malowała dekoracje, obmyślała wygląd i *ruch sceniczny* postaci. Gdy nie mieli czasu ani ochoty, bo i tak się zdarzało, na żmudne przygotowanie sztuki, organizowali naprędce „żywe obrazy historyczne”; wtedy Ksawery był Kościuszką, Natasza Bartoszem Głowackim, a Olga z Aneczką – rosyjskimi żołdakami. Albo płynęli tratwą Meduzy, paleni przez słońce, bez wody, jedzenia i nadziei.

Coś jednak zaczęło się zmieniać w „Domu pod gontami”, coś chwiać, coś pękać, cień zdawał się dłużej w ciągu dnia leżeć nad doliną, las za domem nie szeptał już, nie szumiał jak dawniej, zdało się też Oldze, że ostatnio przysunął się bliżej ich domu. „*Kiedy Las Birnam...* Nie, no skąd, on tylko tak szybko się rozrasta”. Dom skrzypiał, trzeszczał, po prostu układał się lepiej do dalszego życia czy może starał się im coś powiedzieć? Najpierw było jakieś niedobre słowo rzucone w przelocie, jakiś nerwowy grymas, dziwny żart, obojętne, czemu tak obojętne spojrzenie, i nagle ledwie widoczne, niedostrzegalne, ukryte rysy i spękania wypełzły na powierzchnię. Było to na parę miesięcy przed maturą siostr, gdzieś tak w okolicy studniówki; najpierw dotknęło to Nataszę, która milkła nieoczekiwanie, w pół słowa, patrzyła nagle na wszystkich chłodno i ironicznie (tak przynajmniej wydawało się Oldze), rzucała jakąś złośliwą, cyniczną (tak zdawało się Ksaweremu), często bez przyczyny okrutną uwagę i trzaskając drzwiami wychodziła gwałtownie z pokoju, po czym przesiadywała godzinami w korytarzu na piętrze, przerzucając nerwowo kartki wciąż tych samych kilku książek. Mówiła potem cytatami, które im zdawały się być niczym więcej, jak niby-poetyckim, niby-filozoficznym bełkotem, niewartym uwagi, którą zdawała się przywiązywać do nich Natasza. To znowu wpadała w złość, gniew, a wszystko było jakieś takie niepohamowane, nieokiełznane. Do egzaminów maturalnych nie przygotowywała się wcale i nie potrafiła (a może nie chciała) odpowiedzieć na pytanie, co zamierza robić w dorosłym życiu. Któregoś wieczoru, w czasie przygotowań do wystawienia współczesnej sztuki, o której myśleli od dawna i którą wcześniej z okrzykiem triumfu wyszperali w numerze „Dialogu” sprzed dwóch lat, Natasza gwałtownie odłożyła pokreślony już tekst, rzuciła w stronę Olgi: „Resztę możecie już sobie zrobić sami”, wstała i na tym skończył się etap teatralny „Domu pod gontami”. I coś jeszcze.

Wkrótce potem Ksawerego opanowała ostra melancholia, która przechodziła nieoczekiwanie w stany euforyczne, ale szybko przerodziła się w silną depresję; zaczął stronić od ludzi, nie tylko obcych ale i bliskich, w dodatku zaczęły mu drżeć ręce, a niewytłumaczalny ból rozsadał co rano głowę. Nie zważając na to pracował całymi godzinami, przygotowując nowy cykl litografii. Kreski biegły nierówno, ale ślęczał nad swoimi kamieniami, które z czasem stały się jego jedynymi powiernikami. Jedynymi, nie licząc Olgi. Jej usilne starania, aby zastępować matkę we wszystkim, absolutnie we wszystkim, wywołały kiedyś komentarz Nataszy: „To już absurd, ja rozumiem, że ona się nim opiekuje, ale wkrótce będzie mu ogrzewała łóżko”. Olga, czując, że rodzinna układanka, tak mozolnie przez parę lat składana przez nich wszystkich, rozsypuje się, bodaj bezpowrotnie, usiłowała jeszcze walczyć, jeszcze namawiała ich do wspólnych przedsięwzięć, do

spróbowania, pomimo wszystko. Więcej robiła przy tym szkody niż dobrego; to wtedy właśnie narodziła się ta-wredna-wstrętna-Olga. Ona przecież także machnęła ręką, gdy i Aneczka zaczęła chodzić własnymi drogami. Młodsza siostra na długie godziny znikwała w nowo otwartym domu oazowym nad rzeką; czekając na kolejny koniec tygodnia siedziała z modlitewnikiem albo Biblią przy kominku, nuciła nabożne pieśni, wywołując tym cierpienia domowników, albo, co trochę lepiej znosili, prześpiewując lub przepowiadając kanony z Taizé (o ile nie powtarzała ich po raz trzydziesty i trzeci). Którejś niedzieli ojciec zawołał ją do pracowni, a może sama wymusiła na nim tę rozmowę. Wyszła stamtąd po godzinie wzburzona, nie odezwała się do Ksawerego przez następny miesiąc, jej modlitewnik potem raz wędrował na półkę, raz z niej wracał, nie rozstawała się natomiast ze Starym Testamentem, prawie z nim spała, a młody wikary z probostwa skarżył się Oldze, że nie jest w stanie rozplątać wątpliwości Aneczki i zapanować nad jej religijnym chaosem, a w ogóle tę okolicę opanowują, jego zdaniem, niedobre siły, bo przecież pan Ksawery także... Po któregoś wizycie „Pod gontami” i krótkiej a głośniejszej rozmowie z gospodarzem wyszedł z ich domu równie wzburzony, jak niedawno Aneczka z pokoju ojca. Więcej też nie pokazał się na polanie.

Minął czas matur, przeleciała lipcowym suchym wiatrem pora egzaminów; jeszcze ostatnim wysiłkiem woli pospraszala Olga gości na poegzaminacyjny, letni piknik z muzyką, śpiewami, tańcami i plenerowym malowaniem, lecz było już za późno. Jesienią starsze dziewczęta rozpoczęły studia – Olga w wojewódzkim mieście, na wydziale historycznym uniwersytetu, co miało tę zaletę, że nie wymagało mieszkania w akademiku, choć zmuszało ją do wstawania o piątej rano, Natasza zaś (oczywiście bez jakichkolwiek ustaleń z rodziną) powędrowała do stolicy, do szkoły dramatycznej. Uzgodniła z ojcem, iż Ksawery będzie częściowo finansował jej studia, lecz ona nie będzie przyjeżdżać do domu, który stał jej się obcy, wręcz wstrętny, bo wstrętnei i obrzydliwi stali się jej wszyscy (tu padło słowo ‘filistry’ i to określenie zadziwiło ich doprawdy, wręcz zbulwersowało). Na takie ułożenie ich wzajemnych relacji Ksawery łatwo wyraził zgodę, gubił bowiem powoli związek z rzeczywistością, więc również i z córką nie miał już kontaktu, a podejmowanie ważniejszych decyzji od kwestii zakupu drewna, artykułów rzeźbiarskich i malarskich czy ustalenia menu na najbliższy tydzień, przeszło naturalną koleją rzeczy na Olgę. Ta zaś miała już dość Nataszy i jej chorobliwych dziwactw i natręctw. Poza tym chciała być panią „Domu pod gontami”, należało jej się to przecież. Aneczka zajęła ławkę siostr w liceum (siedziała w niej sama, bo żadna z koleżanek nie chciała jej towarzyszyć) i dom Ksawerego wkroczył w wiek dojrzały.

\*

Natasza przyjechała przed wieczorem. Powietrze, nagrzane w ciągu dnia i jeszcze ciągle rozjaśnione, zgęstniało naraz i pociemniało, jakiś chłód przesunął się po ludziach i zwierzętach, a Olga poczuła mrowienie w plecach i koniuszkach palców, takie samo, jak wtedy, gdy zegnała siostrę opuszczając „Dom pod gontami” ćwierć wieku temu. I na ćwierć wieku, „Ale chyba dochodziły moje kartki świąteczne?”. Przywitały się z Olgą bez nadmiernych czułości (bardziej serdecznie uściskała Natka przyrodnią siostrę), bez większego wzruszenia (tak to wyglądało) podeszła do ojca, przyjrzała mu się uważnie, z namysłem, odwróciła się do siostr: „Co kto posiał, to i zbiera”, po chwili wahania pogładziła Ksawerego po włosach, coś mu szepnęła do ucha, niedbale, szybko przedstawiła im swojego nowego męża, trzeciego, „To już chyba wiecie z prasy; tamci dwaj to były niezłe łotry, Aneczka poznała jednego z nich, tego poprzedniego. To był drań nad dranie. ‘Idziesz do kobiet, nie zapomnij bicza!’. Ha! Cóż, człowiek powinien akceptować los, który mu świat przyrządza... Teraz mam – zdaje się – więcej szczęścia”.

Zaparkowano samochód na podjeździe, wypakowano torby, poczęstowano się na tarasie szybką herbatą i równie prędkimi kruchymi ciasteczkami, ponieważ na polanę zaglądać już zaczęło prawdziwe wieczorne ochłodzenie. Wszyscy, gospodarze i goście, przenieśli się do sali kominkowej. Wózek Ksawerego ustawiono pośrodku, na wprost kobiety z szarego kamienia; ojciec wydawał się nieobecny, rozkojarzony, ale Olga widziała, jak ukradkiem wodzi oczami za Nataszą. Próbował w pewnej chwili coś powiedzieć, przerwać jakoś potok słów Nataszy czy strumień zdań Aneczki, ale chybił, nie trafił, zrezygnował więc, spuścił ramiona, skurczył się w sobie i do końca pierwszego dnia nawet go nie usłyszeli. Przy kieliszku tutejszej nalewki i przyjezdnego koniaku toczyła się niespieszna rozmowa o byłym i obecnym. „Dom trochę pochylił się od tamtych czasów, jak i my wszyscy. Poszarzał, wyblakł. Ale gont trzyma się świetnie. Aaa, uzupełniacie od czasu do czasu? Tych lewkonii pod kuchennym oknem nie pamiętam, chyba dawniej tam nie rosły. Jednak wracamy, ciągle i wciąż wracamy. To tylko przedsmak, moi drodzy, tylko przygrywka. Jednak, gdy wyobrazę sobie, że wszystko ma się powtórzyć, to ciarki mnie przechodzą... Słyszałam, że pracujesz teraz nad *Bachantkami*? Kiedy macie premierę? Podobno Ludwik projektuje ci scenografię. Robiłam mu kiedyś kostiumy do *Cyda* w ‘Rozmaitościach’. A ten projekt filmowy, co z nim?... Czekaście, *Bachantki*! To mi coś przypomniało. Przywiozłaś scenopis, jak prosił Ksawery? Ile kopii? Sześć? Dobrze. Nie mówiłam ci, Aneczko, że będziemy wystawiać tu sztukę Eurypidesa? Sztukę. Jak za dawnych czasów. Na życzenie ojca. Jak za dawnych

czasów. W reżyserii Natki, tym razem naprawdę, nie na niby. Czytałam mu o próbach, które w 'Nowym' zaczyna Natasza. To wtedy wymógł na mnie zaproszenie was na jego urodziny. Ach, tort, przyniosę teraz tort urodzinowy... Słuchaj: to nasz Cezar? Nie, to niemożliwe, psy tyle nie żyją, co ludzie; mają więcej szczęścia od nas. A ty, Olgo, jesteś tak samo krzepka, jak dawniej, tylko księżyc posrebrzył cię odrobinę. Już ty nie jesteś taka do mnie podobna. Dalej bawisz się w klasy? Olga. Mędrca szkiełko i oko. Sokrates w spódnicy. Racjonalny, zdrowy, moralnie zdrowy aspekt rodziny. No, siostra, nie naburmuszaj się, przecież mnie znasz. Tak, przygotowuję *Bachantki*, w zeszłym roku robiłam *Eumenidy*, za rok kolej na Sofoklesa. Nie uważam Eurypidesa, *Bachantki* to cena za możliwość wystawienia tamtych dwóch dramatów. Eurypides to kat antycznej tragedii. Nie, nie przesadzam. Ale mam na niego sposób. Cóż, dali nam z Unii pieniądze na grecki cykl, na cykl. Moja siła przekonywania. Bo moja moc nie zna granic, tylko, kurwa, trzeba chcieć, bardzo, bardzo chcieć. Z filmu na razie nici, ten idiota nie zgadza się na adaptację według mojego scenariusza. Nasza niepoprawna Aneczka, pokaż się mała, w tym świetle cię nie widać. Jakaś ty ciągle piękna. Ile to lat cię nie widziałam? Trzy czy cztery? Cztery, prawie cztery. Chłopa jak nie było, tak nie ma, co? Nie śmiej się, nie śmiej, głupia. Dalej roztrząsas, którą drogę obrać? Czas zdecydować się, skarbie, starsi czy młodszy bracia. Albo związek umowy albo związek miłości... Albo-albo. 'Miłości'. Też coś! W tych swoich malunkach kluczysz i uciekasz, od jednych do drugich, widzę przecież. Śmieszna jesteś z tymi swoimi rozterkami. A Boga nie ma, dziecino, nie pamiętasz, co ci mówiłam? Ani Starego, ani Młodego. Umarł. Umarli. To tylko miraż słabych i chorych. O, *pardon*, Ksawery. Hej, zdrowie Ksawerego, zdrowie naszego ojca! Ile to lat dziś kończy? Stachu, nalej mi jeszcze koniaku. To całkiem przyzwoity Hennessy. Więc, co do boga – jest tylko Bakchos-Dionizos. Albo nie. Olga, kapnij mi tej twojej orzechówki. To z orzecha, który zasadził Sobotka? A może Sobótka. Zdarł wtedy z ojca nieźle, niech go porwą czarci z Góry. A propos, kto będzie Dionizosem? Kto będzie naszym nowym, wspaniałym człowiekiem? Może nasz... brat? Jaki on jest, ten nasz brat?... Pani Olgo, zimno się zrobiło, może przymknę okno? No, Nataszo, pora spać, jutro też jest dzień, wasz ojciec już ledwo siedzi. Wszystko dobrego, panie Ksawery... Znowu kurewsko łupie mnie w głowie, gdzie te moje cholerne prochy? Wezmę butelkę do pokoju, chyba nie macie nic przeciwko temu? I tak już w niej niewiele. Jakże cię kocham, o Wieczności!... Panie Stanisławie, pomoże pan przenieść ojca na górę? Zatem dobranoc wszystkim, dobranoc. Woda w dzbanku w holu jest do picia, to nasza, źródłana. Z cytryną i miętą, jak kiedyś”.

Dionizosem miał być Dionizy. Syn sąsiadów zza leśnej przecinki – Zosi nauczycielki i Maćka, cieśli – od trzydziestu prawie lat na lichej rencie powypadkowej, który opiekował się Ksawerym, od czasu, gdy ten zachorował ciężko po raz pierwszy. Maciej sam był niezbyt sprawny, po tym, jak spadł z rusztowania w odnawianym kościele za Górą, uderzając głową o wystającą belkę, wgniatając sobie spory kawałek potylicy i łamiąc prawą rękę w paru miejscach (okoliczności te bezspornie stwierdzili biegli, powołani w sądzie pracy w sprawie założonej przez Zosię przeciw księdzu proboszczowi wkrótce po jej i Maćka ślubie; ksiądz bowiem nijak nie poczuwał się do winy zaniedbania przepisów bhp i renty z własnej kieszeni płacić nie chciał). Pomagał Maciej Oldze jak umiał, dostawał za to trochę pieniędzy, które wydawał chyba tylko na papierosy, uśmiechał się łagodnie, gdy Olga pouczała go o szkodliwości palenia albo napominała o konieczności zamykania drzwi domu, kiedy siedzą z Ksawerym na tarasie na piętrze, i nie złościł się wcale, gdy Zosia, jego żona, krzyczała na niego, bo nie umiał zrozumieć nic a nic, co do niego mówi. Nie pojmował też chyba, dlaczego został mężem Zosi, pięknej pani nauczycielki od muzyki, on cieśla bez pracy i bez żadnych szans na jakąkolwiek robotę, bez krztyny wykształcenia ni nawet rozumu do rozmowy z taką uczoną osobą, jak pani ze szkoły. Zgodził się przecież na to małżeństwo łatwo, zachęcony obietnicą dodatkowej renty i wsparcia dla dziecka, co to się miało rychło urodzić jego Zosi, no i jemu, bo przecież i święty Józef, i święta rodzina, przecie lepiej we dwoje przez życie iść, a jeszcze raźniej we troje. Pomagał, jak umiał, stawiać ich dom na malutkiej działce, co to ją Zosia dostała, od gminy, zdaje się, na chrzciny ich Dionizego, dziwował się tylko, czemu takie niechrześcijańskie imię dali synowi i czemu chałupa ma dach z łupanego drzewa, zamiast porządnego, z blachy falistej albo przynajmniej z *eterniku*. Nie wiedzieć też czemu, Zosia nie chciała nigdy zachodzić z nim do pana Ksawerego (słuchała za to chciwie, jak opowiadał o ciężkiej chorobie i zgryzotach starego z jego niedobrymi córkami) i dlaczego wikary wstępu do „Domu pod gontami” nie miał i na kolędę musiał fatygować się tam zawsze jegomość dobrodziej.

We wsi szeptano jakiś czas o tym i o owym, ale nowy dzwon na wieży kościelnej i czas zamknęły usta złym językom i tym niedowiarkom, co w miłość dwojga ludzi nie mogli uwierzyć, tak jakby serce było jakimś sługą i nie mogło szukać swojej połówki wedle upodobania, choćby i najdziwniejszego.

Wyrósł więc Dionizy w rodzinie może niezupełnie takiej, jak inne, niezupełnie zwyczajnej, ale cichej i bogobojnej, ojca szanował, chociaż pokochać nie potrafił, matkę uwielbiał, a ona nauczyła go nie ufać innemu uczuciu niż miłość do muzyki, wpoila mu jednak nieco swojego zdrowego rozsądku i posłała w końcu na ten sam uniwersytet, który kiedyś ukończyła pani



Olga. Wystarała mu się też o posadę w liceum w Olchowcu, w którym i ona uczyła, a której dyrektorką od dawien dawna była właśnie Olga z „Domu pod gontami”. Olga, córka starego rzeźbiarza i grafika, do którego Dionizy zachodził czasami, a który lubił dotykać włosów chłopca, tak samo falujących, miękkich i jasnych, jak jego własne. Smucił się tylko Dionizy trochę, że matka i pani Olga są tak sobie niechętne i jeśli rozmawiają, to chłodno i zdawkowo, a tylko o uczniach, planach godzin i o sylabusach.

Więc Dionizosem miał być syn Zosi, Dionizy, królem Penteusem – Ksawery, Kadmosem i pierwszą kobietą chóru, jego przodownicą – Natasza; Terezjaszem i drugą kobietą chóru została Aneczka. Olga – matką Penteusa o imieniu Agawe („czy jest inna możliwość? matkuję mu przecież od dawna”), zarazem kapłanką misteriów, a Stanisław, mąż Natki, zgodził się przyjąć role gońców i sługi, objąć obowiązki inspicjenta, a nawet pomóc w przygotowaniu masek z kartonu. Nawet dla Macieja znalazło się zajęcie – poproszono go o uprzątnięcie obejścia, a przede wszystkim o wytaczanie w czasie przedstawienia *ekkyklematu* („wózka, po prostu waszego dużego wózka na mleko, Macieju”), na którym „wjeżdżać” miał na plac-*orchestrę* chór w osobach Aneczki i Natki.

Natasza wstała drugiego dnia około południa, rozdała kopie sztuki, w których pozakreślała każdemu jego kwestie, odcinając solidny kawałek początku dramatu (pozostawiła jedynie mowę boga Dionizosa i krótkie fragmenty pieśni chóru), a także skracając wszystkie dłuższe monologi Ksawerego-Penteja, po czym poszła spać dalej i wstała dopiero późnym popołudniem. „Za dużo chyba bierze tych tabletek, one działają nasennie, a jeszcze alkohol...”. Pozostali, oczywiście z wyjątkiem ojca, który został jak zwykle pod opieką Maćka, wybrali się do starej, zarośniętej poręby. Zjedzono późny obiad i Natasza zebrała ich w kręgu ogniska za domem:

– Przypominam, a tym, co nie znają, przybliżam treść tragedii. Penteus, król tebański, wnuk założyciela Teb, Kadmosa, występuje przeciwko bogowi Dionizosowi, głosząc, iż ten jest podłym łgarzem, jako też i oszustwem są misteria odprawiane przez jego wyznawczynie, bachantki (w cywilu mieszkanki Teb) na halach Kitajronu i w lasach otaczających miasto. Wtrąca do lochu nieznanego, który przypuszczalnie jest dionizyjskim kapłanem. Ten jednak zostaje cudownie wyzwolony (zapewne przez samego boga) i namawia Penteusa (który czuje teraz przemożny respekt do byłego więźnia), aby w przebraniu niewieścim podejrzwał, co też owe bachantki wyczyniają w borze. Penteus wdrapuje się na drzewo, podgląda szalejące menady i... I zaczynamy na placu przed domem, przenosimy się tu, do ogniska, potem na skraj lasu, wnosimy Ksawerego na górny taras, skąd obserwuje misteria, i

na końcu wracamy na taras dolny, który pełnić będzie rolę tebańskiej agory i gdzie dopełni się to, co się ma dokonać – przerwała na chwilę. – Gdzie się dopełni – powtórzyła. – Porzucamy jedność miejsca i wykorzystujemy naturalną scenerię. Oczywiście nie uczymy się ról na pamięć, chcę jednak, aby każdy przejrzał chociaż raz swój tekst. Ty także, ojczy, ty także, oczywiście, jeśli... jeśli ci siły pozwolą. Gramy sztukę w archaicznym mocno tłumaczeniu Kasprowicza, co mnie osobiście nie odpowiada, dla swojej realizacji zamówiłam nowy przekład, ale o tę właśnie wersję prosił Ksawery... – przerwała nagle, podeszła do Ksawerego i chwyciła go mocno za ramię. – To podłe ojczy, że poprosiłeś mnie o to, wiesz o tym? Podłe – krzyknęła.

– Podłe, czemu? Co ty mówisz, Nataszo? Zostaw go, to stary, schorowany człowiek.

– Nie wtrącaj się, Stachu. On wie, dlaczego – Natka odwróciła się i ruszyła w stronę domu. – Jutro o dwunastej próba generalna. A wieczorem, po zachodzie słońca, premiera. Premiera! – zaśmiała się głośno, drwiąco i dodała: – Pojutrze wracamy. Dzwonili z teatru, są jakieś nieoczekiwane komplikacje, muszę spotkać się z tym durniem, autorem muzyki.

Zatrzymała się przy huśtawce.

– Wyśmiał mnie wtedy, mojego świecącego Apollina, mojego czarownego Dionizosa, mojego szalonego Fryderyka, wyśmiał mnie, moje fantazje, moje upojenia, a teraz zmusza mnie do tej farsy. Wie jednak, że akurat *Bachantki* to nie moja pieśń. Niech będzie. Sam tego chciałeś. Jutro gramy. Kurtyna w górę!

*A zatem na tebańskie przybyłem zagony,  
Ja, Zeusa syn, Dyoniz, ongi urodzony  
Z Semeli, latorośli kadmowego domu,  
Co zległa, rozwiązana łyskawicą gromu...  
Na ziemskie kształty bożą zmieniwszy urodę,  
Mam oto źródła Dyrki i Ismenu wodę,  
Grobowiec mej, zabitej od pioruna, matki  
I domu królewskiego dymiące ostatki...  
...Ja teraz na niwy  
Kithaironowe skoczę, w jar, gdzie jest zebrany  
Korowód mych bachantek, i puszcę się w tany!*

– Świetnie Dionizy, teraz chór.

*Szczęśliwy, zaiste, człek,  
Kto się do służby bożej  
Całą swą duszą przyłoży,*

*Kto, życia swego bieg  
Kierując w góry  
Na wtóry  
I tańce bachijskie, najradziej  
Im oddan, gładzi  
Swe grzechy!  
Szczęśliwy, kto się weseli  
Wraz z nami  
Pląsami  
W cześć wielkiej Macierzy Kybeli,  
Kto, pełen szalonej uciechy,  
Tyrsos w swą ujmie dłoń...*

- Podaj im tyrsos, Macieju, a żywo! Tak, tę laskę owiniętą kwiatami i wstążkami.

*Bluszczem uwieńczy skroń  
I wielbi i chwali  
Najdbalej  
Dyonizową moc!  
Hej-że ku mnie  
Tłumnie, szumnie  
Ty bachantek ciżbo mnoga,  
Coś szumnego tutaj boga,  
Którego sam spłodził bóg,  
Od górzystej Frygii dróg  
Do helleńskich wiodła smug!...*

I tak biegła, rozwijała się, rozkładała przed nimi owa antyczna tragedia. Wieczór tym razem był ciepły, spokojny; arkadyjski księżyc oblewał polanę mlecznym światłem, świetliki pozapalały niezliczone lampiony, wiatr od Góry poruszał łagodnie szczytami drzew, rosa powoli, kropla po kropli, układała się do snu na łące. Maciej wtaczał na plac swój wózek, dokładał dREW do ogniska, zapalał sztuczne ognie, aktorzy czytali swoje kwestie, pieszcząc rytm wiersza, kosztując słodkie wino, które Stanisław nalewał im do kieliszków, smakując ten zmierzch, tę polanę, ten dom, ich samych, zebranych tu wszystkich, po latach, na chwilę, na moment.

*...Bożych wyroków potęga  
Zwolna, lecz pewno dosięga*

*Grzesznego w świecie człowieka,  
Który z poprawą przewleka.  
W nieuchronności swojej  
Sądzi go, sądzi  
Gdy błądzi,  
Gdy bóstw się wcale  
W swym szale  
Nie boi...*

– Mów, Dionizosie! Mów do niego!

*...O ty, który źrenice zwracasz ku widokom,  
Co nie są do widzenia, i folgujesz krokom...  
Wyjdź z domu, pokaż mi się w swej niewieściej chwale:  
Przybrałeś strój bachantki szalonej menady,  
By śledzić twojej matki i jej kobiet ślady...  
Na twe jestem usługi, pozwól, że zaczeszę  
Ten pukiel, Podaj głowę!*

– Ojczy, teraz ty.

*Podaję, podaję...*

– Macieju, zanieś ojca na górny taras, Dionizy, mój drogi, pomóż mu. Posadźcie Ksawerego na jego wózku, zostawcie go tam i wracajcie. „Przyspiesz kroku, już pora/ Wspinaj się, wspinaj się do góry...”<sup>2</sup>. Teraz uwaga, będzie ważna pieśń chóru. No, dziewczyny! Głośno! Huzia!

*Huzia! hu! wściekle psy!  
Huzia! W ostępy gór,  
Gdzie thyrsos radośnie drży  
W dłoni Kadmowych cór!  
Huzia my, huzia na szpiega,  
Co strój niewieści wdział  
I ujrzyć menady zabiega –  
Taki nim miota szal!  
Pierwsza go matka spostrzeże  
Czatującego z wierzchołka  
Świerku lub turni i głośno*

---

<sup>2</sup> Eurypides, *Elektra*, tłum. Jan Łanowski.

*Na tłum bachantek zawoła...  
Wzniesz sprawiedliwy miecz  
I morduj i kłuj i siecz!  
Na wylot mu przeszyj krtań,  
Niech ginie, niech kona  
Syn Echiona,  
Ziemi okrutny plód!...  
... I wraz się przyłoży  
Ręk tysięcy do tej jodły i wyrwie ją z ziemi.  
A między gałęziami siedział jodłowemi  
Pentheus, by wraz upaść wśród jęków rozpaczy  
I westchnień przetysiącznych: wiedział, co to znaczy.  
Na śmierć niechybną szedł on. Dopadnie go matka  
I pierwsza – że kapłanka – pocznie do ostatka  
Mordować swego syna...*

– Dobrze, Olgo, teraz ty. Nie tak afektowanie, nie jesteś Emmą Hart, moja droga. Radośnie, jeszcze nic nie wiesz, nie przeczuwasz nawet, co ci los wyznaczył. Zaczynamy od słów: „Maik niesiemy w dom, maik zielony, od gór go niesiemy, od gór, niesiem go świeżo ucięty!”. Nie, zaczekaj, zrobmy dłuższą przerwę. Stachu, skręć mi papierosa, i nalej nam jeszcze wina! Nektar, niech się leje nektar! W noc bachiczną, noc szaloną, „kiedy ta rzesza rozwiązała, spragniona wrzącej krwi kozła...”. Tańczmy, niech Bóg się rodzi, niech Bóg umiera... Maćku, dorzuc do ognia żywicznego drzewa, niech iskry lecą, przynieś koce z domu i idź z naszym boskim Dionizym po pana Ksawerego. *Les lumières éteints, le rideau baissé...* Nektar, niech się leje nektar!

„Szanowny Panie... Rzecz już zakończona. Przesyłam protokół zamknięcia śledztwa. Biegły napisał, że denat miał trzeci wylew i zmarł właśnie wskutek tego. Ja jednak ciągle mam wątpliwości. Jak Pan wie, zaginęła gdzieś fiołka z proszkami tej reżyserki, pani Nataszy. To bardzo mocny środek. Jednak, jak Pan sugerował, nie drażyłem tej sprawy. Człowiek pochowany, lekarz się wypowiedział, świadkowie także, koniec, kropka.

Na biurku denata znalazłem kartkę, zapisaną odręcznym pismem: ‘I tak tu będziesz musiał wracać, stary głupcze. Wciąż i wciąż’. I coś tam jeszcze. To dziwni ludzie...’.

\*\*\*

